Nr. 13. We Lwowie dnia 28. marca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

TANIEC BOGUNEK.

(Z „Dzwonu zatopionego" Hauptmanna).

Polana leśna. — Cisza. — Błyska. — Z lasu wysuwają się ukradkiem bogunki.

PIERWSZA BOGUNKA.

(szeptem)

Siostro!

DRUGA BOGUNKA.

Siostro!

PIERWSZA BOGUNKA.

Księżyc biały
nad urwiste zeszedł skały;
rozsiał blask swój chłodny, siny
Na przełęcze, na doliny!

DRUGA BOGUNKA.

Skąd przychodzisz?

PIERWSZA BOGUNKA.

Tam, gdzie mgławy
blask się łamie w skrach siklawy,
gdzie w promieniach fala świeci,
z szumem, hukiem w przepaść leci —
tam z nocnego wyszłam mroku!
Z tryskających pian potoku
wytrysnęłam i do góry
przez skaliste wnikłam mury.

(Zjawia się:)

TRZECIA BOGUNKA.

W tan idziecie, siostry moje?

PIERWSZA BOGUNKA.

Podaj-że nam rączek dwoje.

DRUGA BOGUNKA.

Skąd przychodzisz?

TRZECIA BOGUNKA.

W krąg bezpieczny,
W krąg się wiążcie, w krąg taneczny!
Tam, gdzie głazy, gdzie opoki,
staw się chowa, staw głęboki,
w nim lśni gwiazdek rój promienny!
Niby klejnot drogocenny,
z tego stawu wyszłam łona...
Moja suknia wysrebrzona:
wnet sukienkę srebrną zwinę
i w miesięczną tę godzinę
nad przełęcze, ponad szczyty,
przywionę tu przez błękity!

(Zjawia się:)

CZWARTA BOGUNKA.

Siostry!

PIERWSZA BOGUNKA.

Siostry! dalej w tany!

WSZYSTKIE RAZEM.

W krąg rozwiany, rozszeptany!

CZWARTA BOGUNKA.

Od tych łąk, co kwitną kwiatkiem,
oderwałam się ukradkiem.

PIERWSZA BOGUNKA.

Wijcie, wiążcie wy się w tany!

WSZYSTKIE RAZEM.

W krąg rozwiany, rozszeptany!

(Błyskanie się wzmaga. Grzmot słychać w oddali).

RUSAŁKA.

(Ręce zarzuciwszy na tył głowy, staje nagle w wdrziach szałasu w postawie zapatrzonej, oblanej światłem miesiąca).

Hola! elfy!

PIERWSZA BOGUNKA.

Cyt! Ktoś woła...

DRUGA BOGUNKA.

Ktoś mi suknię rozdarł zgołą.
Precz, ty stary!

RUSAŁKA.

Dajcie rękę!

TRZECIA BOGUNKA.

Aj! ktoś rozdarł mi sukienkę!...
Już się wiąże, już się splata..
Srebrny wianek, mgława szata!

RUSAŁKA.

Dajcie rękę! idę w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!
Srebrna elfko! lube dziecię,
popatrz na mą suknię przecie:
srebrne nitki w mej sukience,
wprzędły mi je babki ręce.
Ty ciemnawa, spojrz co żywo
na mych ciemnych członków dziwo!
Ty złocista! miej ochotę
błysnąć na me włosy złote!
Gdy podrzucę je do góry,
mgieł jedwabnych masz purpury,
a gdy na me liczko zlecą,
szczero-złotą falą świecą!

WSZYSTKIE RAZEM.

Wijcie, wiążcie wy się w tany
w krąg rozwiany, rozszeptany!

RUSAŁKA.

Dzwon do wody upadł na dno —
mówcie, gdzie go znaleść snadno?

WSZYSTKIE RAZEM.

Wijcie, wiążcie wy się w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!
Ni lubystki ni kwiatuszka
niezabudki nasza nóżka
nie dotknie się, idąc w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!

Przełożył Jan Kasprowicz.

JAMES SULLY.

Umysłowość ludzka. Z angielskiego tłóm. J. K. Potocki. Warszawa 1897.

(Dokończenie).

Podstawę, a nawet możnaby powiedzieć, istotę czynności umysłowych stanowi odróżnianie i upodobnianie. W odróżnianiu i upodobnianiu każe autor widzieć objaw czysto duchowy, któremu nie odpowiada żaden proces fizyczny w mózgu. Zdaje mi się, że jest to twierdzenie zbyt dogmatyczne i zostaje w sprzeczności z przyjętą przez niego samego zasadą że każdemu zjawisku duchowemu towarzyszy zawsze odpowiednie zjawisko fizyczne, że, słowem, każda czynność duchowa jest uwarunkowana jakąś sprawą mózgową. Upodobnianie umożliwia klasyfikację, która zaprowadza

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

II.

KIRGIZ.

Drugiego przyjaciela mego, Kirgiza Achmeta Sigirybajkę, sławnego na całą okolicę stepową koniokrada-rabusia, poznałem przypadkiem, w ten oto sposób:

Po śmierci Aleksandra III. spędzano zewsząd do W—ska, z pobliskich wiosek baszkirskich i z koczowisk kirgizkich, moc ludu wszelkiego, by składał przysięgę na wierność nowemu Chanowi...

W miasteczku naszem, w dniu naznaczonym przez urząd, ruch był niezwykły od samego rana; wałęsały się, tu i ówdzie, gromady Kirgizów, przeciągali zwolna senni Baszkirzy, mało zdający sobie sprawę: po co ich tu wezwano, — gdzieniegdzie wśród tej masy spędzonej, na gwałt uwijały się pikiety kozackie, z długiemi spisami u strzemienia: wszystko to tłoczyło się na »bazarze« i parło głównie do szynków, rozprawiając hałaśliwie, giestykulując zawzięcie, swarząc się ząb za ząb, a niekiedy zataczając się od jednej strony ulicy, ku drugiej...

Czy nam sprzykrzył się widok tej pstrej gromady ludzkiej, chaotycznej jakiejś i bezładnej, wciąż przed oczy nasze cisnącej się natrętnie; czy może oczekiwanie niezwykłych wypadków niecierpliwiło nas więcej, lub tęsknota mocniej uciskała duszę, — dość, że dnia tego, usiedzieć nie mogliśmy w mieszkaniu... Jakieś wzburzenie wewnętrzne pędziło nas w świat, byle dalej tylko od tego, co wciąż stało przed wzrokiem i jakąś zjadliwą monotonją wciskało się we wszelkie szczeliny ducha, a dławiło go, dławiło — bez końca...

Gdy słońce zaczynało już osiadać powoli na wzgórzach Uralu — nie wytrzymaliśmy i pędem, przez zamarzły Jaik, umknęliśmy w step martwy, brunatny, ledwie śniegiem przysypany, ale jakiś taki wielki i pociągający w swej samotności i opustoszeniu, że stokroć był nam bliższym od najpiękniejszej i najradośniejszej okolicy.

Chodziliśmy po nim, bez celu, to tu, to tam; zatrzymywaliśmy się nagle, bez widocznych powodów, wpatrując się w łagodnie falującą linję Uralu; strząsaliśmy bezmyślnie szron z uschłych

porządek w materjale doświadczalnym i pozwala wykryć stosunki, jakie zachodzą między jego składnikami.

Doświadczenia pozostawiają po sobie ślady w mózgu, stanowiące warunek odtwarzania na przyszłość tych samych doświadczeń w słabszej formie. Odtwarzanie przeszłych doświadczeń podlega prawu kojarzenia, łączenia się z sobą pierwiastków umysłowych w pewne całości, mniej lub więcej złożone, na zasadzie zetknięcia się w czasie, tj. stosownie do tego, czy w doświadczeniu występowały współcześnie, czy też w bezpośredniem po sobie następstwie. Pierwiastki umysłowe, kojarząc się w całości złożone, takie, jak wyobrażenia i pojęcia rodzajowe, stanowią materjał umysłowy, który do dalszego użytku przechowuje się w pamięci. Odtwarzanie umysłowych nabytków również odbywa się podług prawa kojarzenia, które jest natury czysto mechanicznej. Doznane wrażenie, wywołując czucie zmysłowe, podobne do tego, którego przedtem doznaliśmy łącznie z innemi uczuciami zmysłowemi, zespala się z temi czuciami w jedną całość i tworzy postrzeżenie; postrzeżenie to ze swej strony pociąga za sobą cały szereg wyobrażeń, z któremi w doświadczeniu było połączone przez zetknięcie się w czucie. W ten sposób prawo kojarzenia jest przedewszystkiem prawem pamięci. Co się tyczy wyższych czynności umysłowych, jakiemi są: tworzenie pojęć oderwanych i ogólnych, sądów i rozumowań, to polegają one głównie na upodobnianiu, na upatrywaniu podobieństw różnego stopnia.

Już w wyobraźni twórczej prawo kojarzenia ustępuje miejsca upodobnianiu, jakkolwiek u niej to upodobnianie dokonywa się bezwiednie. Świadomem staje się ono dopiero w myśleniu, dzięki uwadze czynnej, która porównywając umysłowe pierwiastki, wykrywa zachodzące między niemi stosunki. Z pomiędzy nich zatrzymuje się ona nad temi, które ją obchodzą, odpowiadają powziętemu zamiarowi i syntetycznie łącząc je z sobą, wytwarza pojęcia, sądy i rozumowania, przyczem zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co robi i dlaczego ma tak robić. Pojęcia, sądy i rozumowania mają charakter przeważnie podmiotowy — i dlatego stają się przyczyną złudzenia, wskutek którego zdaje się nam, że rękojmia ich prawdziwości w nich samych zawiera się, w ich zgodności z sobą, kiedy tymczasem jedynym ich sprawdzianem jest ich zgodność ze spostrzeżeniami, które dają im początek i są ich jedyną podstawą. Jakoż sprawdzone na spostrzeżeniach pojęcia, sądy i rozumowania stanowią jedyną treść wiedzy; niesprawdzone, ale też i nieprzeciwne postrzeżeniom, wywnioskowane z nich i mające za sobą pewne prawdopodobieństwo, należą do zakresu wiary.

Takie jest ogólne stanowisko autora i jego zapatrywania na najgłówniejsze zagadnienia, dotyczące umysłowych czynności, któremi zajmuje się wyłącznie w pierwszym tomie swego dzieła.

Opierając się na pewnych wyróżnieniach, jakie autor przeprowadza w czynnościach umysłowych, które jego poprzednicy ze szkoły an·

---

traw stepowych; czasami biegliśmy wzrokiem za spłoszonym, z pod nóg, zającem — bielakiem. Zachowywaliśmy się zwyczajnie, jak ludzie, poszukujący byle jakiego roztargnienia, gotowi na wszystko, pozbawieni bowiem określonych zamiarów. Nagle na drodze, wiodącej od miasteczka, dał się słyszeć głuchy tętent kopyt końskich. Mimowoli obejrzeliśmy się... Drogą cwałował jakiś jeździec; poznaliśmy zdala, po stroju i sposobie trzymania się na koniu, że był to Kirgiz... Jeździec skręcił z drogi na ścieżynę stepową i zmierzał wprost ku nam... Minął nas wkrótce, mijając zaś rzucił z podełba wzrokiem, uśmiechnął się raptem, jakoś chytrze i szczerze zarazem — obrócił się na siodle i krzyknął:

— »Hej pan, panowie, słysz, moja twoja *) znał.

Głupio rozradowana, czerwona twarz Kirgiza, oczki maleńkie, ruchliwe, bródka kozia trzęsąca się, nastroiły nas ucieszn1e; zaśmieliśmy się głośno i odkrzyknęliśmy:

— »Mylisz się, bracie«.

Kirgiz zatrzymał konia, przechychylił się na nim, zaśmiał się, wystawiając na mróz dwa rzędy białych zębów i uparcie powtórzył po kilkakroć:

„Ja was znał — ja was znał" — łapiąc coś w pamięci, co mu widocznie wciąż się z niej wymykało.

Obejrzeliśmy dokładnie jeźdźca... Miał na sobie gruby, watowany chałat, bronzowego koloru, na głowie kapuzę baszkirską, naciągniętą na uszy, na szyji szalik z sierści wielbłądziej, na nogach zaś wojłokowe obuwie — słowem nie wyróżniał się czemś szczególniejszem od tych Kirgizów, których niezliczoną ilość mieliśmy sposobność oglądać w miasteczku naszem. Odrazu spostrzegliśmy, że był dobrze pijany i tylko dzięki temu, że jak wszyscy zresztą Kirgizi, był doskonałym jeźdźcem, trzymał się nieźle na koniu.

— Pijany jesteś trochę, bracie — odezwaliśmy się do niego, po chwili milczenia.

(C. d. n.). *W. J. Van Greyf.*

*) Zwyczajny zwrot u plemion tiurksko-tatarskich, zamieszkujących Ural; jest to ich język rosyjski.

gielskiej do jednej zaliczali kategorji, możnaby mniemać, że zerwał on z tradycją tej szkoły o tyle przynajmniej, że przyjęte przez nią zapatrywania usiłuje pogodzić z zapatrywaniami szkoły niemieckiej. Wniosek atoli taki byłby za pospieszny. Różnice, jakie napotykamy w jego wykładzie, są więcej pozorne, niż rzeczywiste. Mają one swe źródło w metodzie autora, nie zaś w odstąpieniu od zapatrywań, jakie ugruntowane zostały przez jego poprzedników. Dokładniejsza analiza spraw umysłowych przekonała, że pewne między niemi rozróżnienia muszą być zaznaczone. Rozróżnienia te atoli bynajmniej nie pociągają za sobą wniosków, do jakich niemieccy psychologowie na ich podstawie dochodzą, powodując się w tem metafizycznemi uprzedzeniami. Przyznaje on wielkie znaczenie w czynnościach umysłowych uwadze, w prawie kojarzenia widzi wyłącznie podstawę pamięci, rozróżnia wyższe czynności umysłowe, polegające na upodobnianiu, od niższych, które powstają drogą kojarzenia, pomimo to wszystko, trzymając się ściśle gruntu doświadczalnego, nie odstępuje ani na chwilę od naukowego determinizmu i poszukując przyczynowego związku zjawisk umysłowych, szuka ich nie po za granicami faktów przyrodzonych, ale w nich wyłącznie. Zanotowałem już powyżej, że jakkolwiek zalicza on uwagę czynną do objawów woli, pojmuje wolę, nie jako czynnik mistyczny, ale jako sprawę psychiczną, tem tylko różniącą się od spraw automatycznych, że jest bardziej złożoną i że z powodu właśnie jej złożoności towarzyszy jej wyraźniejsza świadomość. Co się tyczy wyodrębnienia czynności umysłowych, polegających na kojarzeniu, od czynności, w których podstawie leży proces upodobniania, to sam autor przestrzega, żeby temu odróżnieniu nie nadawać znaczenia bezwzględnego. Jak bowiem z jednej strony upodobnianie wraz z odróżnianiem stanowią podstawę wszystkich czynności umysłowych i występują w niższych, tak samo, jak i w wyższych; tak z drugiej strony i szkoła angielska nie przeocza wcale znaczenia upodobniania, szczególniej w sprawach właściwego myślenia z tą różnicą, że zalicza ona upodobnianie do kojarzenia, widząc w niem tylko gatunkową jego odmianę.

Nie podobna mi wdawać się tu we wszystkie szczegóły, zasługujące ze wszech miar na uwydatnienie, wymagałoby to zbytecznego rozszerzenia ram niniejszego artykułu. Dodam tylko w zakończeniu, że dzieło Sully'ego, które Ribot uznał za najlepsze z tych, jakie w tym przedmiocie ukazały się ostatniemi czasy, zasługuje na uznanie nie tylko z tego względu, że opiera się na ostatnich wynikach badań psychologicznych, ale i dlatego, że te wyniki podaje w formie tak przystępnej, że każdy, posiadający średnie wykształcenie, bez wielkiego trudu może z niego korzystać. Mniej w niem autor goni za oryginalnością pomysłów, a więcej się troszczy o to, żeby czytelnik był obeznany ze wszystkiemi zagadnieniami psychologicznemi, oraz z podjętemi usiłowaniami, w celu ich rozwiązania. To też unika on starannie wszelkiego dogmatyzowania i w kwestjach nierozstrzygniętych poprzestaje na zanotowaniu różnorodnych zdań, zadawalniając się co najwięcej uwagą, że o ile mu się zdaje, takie a takie zdanie ma większe za sobą prawdopodobieństwo, niż wszystkie inne.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o tłómaczeniu. Dokonał go p. Potocki, znany w naszej literaturze z licznych przykładów. O ile mogę sądzić na podstawie porównania kilku ustępów tłómaczenia z tekstem oryginału, przekład jest wierny i myśli autora dokładnie oddaje. Szczególną uwagę zwraca na siebie wprowadzone przez tłómacza słownictwo techniczne. Pozostawiając sąd o nim lingwistom, pozwalam sobie nadmienić, że wszelkie tego rodzaju nowości powoli tylko muszą być wprowadzane i to w tych tylko wypadkach, w których okazuje się konieczność wytworzenia nowego wyrazu, gdyż żaden ze znanych pojęcia dokładnie nie oznacza. Otóż pomijając inne wyrażenia niezwykłe, użyte przez tłómacza, sądzę, że wprowadzenie wyrazów: umysłowanie, umysłować, nie daje się usprawiedliwić naznaczoną powyżej koniecznością. Umysłowanie łatwo da się zastąpić wyrażeniem: czynności umysłowe; umysłować zaś jest wyrazem, bez którego zgoła można się obejść. Usiłowanie zastąpienia przyjętych powszechnie terminów naukowych przez polskie, od ręki wymyślone, trąci pedantyzmem swego rodzaju, którego odstraszającym przykładem jest praca Trentowskiego w zakresie filozoficznego słownictwa.

Władysław Kozłowski (Lwów)

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

— Z tej góry las zobaczę, a za nim zaraz Zieloną — szepnął do siebie i niespokojnie kręcić się zaczął, spoglądając przez ramię pocztyljona, który mu widok zasłaniał.

— Nareszcie sanki wtoczyły się na wierzch wzgórza.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego — szepnął Tyniecki, czyniąc znak krzyża na swoich piersiach, potem przetarł oczy, jakby po śnie długim i raz jeszcze spojrzał na roztaczający się przed nim widok.

— Gdzie las? — zawołał prawie z rozpaczą. Przed nim bowiem roztoczyła się długa i szeroka płaszczyzna, na krańcach której widać było dymiące kominy fabryk.

— Co to jest? — spytał, uderzając w ramię pocztyljona, Tyniecki.

— A Zielona! — brzmiała odpowiedź.

— Zwarjowałałeś, pewnie zabłądziliśmy, przed Zieloną las sosnowy był spory.

— A był! ale dziś już niema, wycięli go do cukrowni!

— Aha, do cukrowni! — powtórzył automatycznie Tyniecki, — to jest cukrownia! — i znów zamilkł, tylko od czasu do czasu powtarzał głośniej do pocztyljona.

— Popędzaj, bracie, popędzaj!

Teraz sanki sunęły śród okolicy zupełnie mu nieznanej. Przed laty, gdy ztąd wyjeżdżał, drogę do dworu w Zielonej ocieniały długie szpalery wysmukłych topoli. Zapomniał, że drzewa, jak ludzie, umierają i że przez ten czas mógł właśnie na nie przyjść kres taki, jaki przyszedł na nieboszczyka Tynieckiego.

Dalej praktyczność w sposobie gospodarowania zmusiła tych, którzy tutaj zostali, zupełnie zmienić i pola. Plantacje buraków zastąpiły las, który zniknął, a pola po tej kuracji ekonomicznej, pokryte śniegiem, wyglądały jak pustka dla przyzwyczajonego do innego widoku oka.

I dziedziniec przed dworkiem miał inną postać niż dawniej. Tyniecki jednak przymrużył oczy, nie chciał przyglądać się temu widokowi, raniącemu jego wspomnienia, a natomiast powtarzał do siebie:

— No, nic dziwnego, zmieniła się natura, ale ludzie przecież takimi samymi pozostać musieli, a jeśli i ich wygląd wiek zmienił, to serca zawsze tak samo bić tam muszą!

Z tem przekonaniem zeskoczył z sanek i wręczywszy zawczasu przygotowanego rubla pocztyljonowi, chwiejąc się na nogach od wzruszenia podążył do wnętrza domu.

Za drzwiami oszklonemi zastąpił mu drogę lokaj we fraku i zmierzywszy od stóp do głowy, brutalnie zapytał:

— Czego?

Snadź wygląd przybysza nie dał mu o nim najlepszego wyobrażenia.

— Pan Tyniecki w domu?

— Jaśnie pan je śniadanie, jeśli z interesem, proszę do kancelarji.

— Nie z interesem!

— To proszę tutaj zaczekać. — Z temi słowy lokaj wskazał przybyłemu prostą dębową ławkę, jaka pod ścianą w sieni stała.

— Idź powiedz, cymbale — zawołał teraz zniecierpliwiony gość, — że przyjechał brat dziedzica, Bronisław Tyniecki, skoro zaprowadziliście zwyczaj, którego tu dawniej nie znano, anonsowania gości!

Objaśnienie dane lokajowi poskutkowało, skłonił się więc grzecznie i zaraz pobiegł na prawo

Bronisław siadł na ławie i znów zaczął dalej snuć nitkę wspomnień, które go tak zajęły, iż nie zdążył nawet zauważyć, że między wyjściem z sieni lokaja, a jego powrotem upłynął czas dosyć długi.

— Jaśnie pan prosi do kancelarji — zawołał nad uchem przybyłemu, roztwierając jednocześnie szeroko drzwi na lewo.

Bronisław bezwiednie wsunął się do owej kancelarji i tutaj stanął jak niemy.

Dla bystrzejszego, a przedewszystkiem zimnego obserwatora już sam wygląd tego pokoju wystarczyłby na wyrobienie sobie pojęcie o charakterze jego właściciela.

(C. d. n).

LECHICI.

Antoni Małecki. »Lechici w świetle historycznej krytyki«. We Lwowie, 1896.

(Dokończenie).

Można nawet z znacznem prawdopodobieństwem wywnioskować, skąd Nestor mógł swe tak dokładne i prawdziwe wiadomości o sposobie rozsiedlania się Słowian zaczerpnąć. Najnowsze badania praruskiego ustroju społecznego wykazują, że Waręgowie najechali Słowian, żyjących jeszcze, przynajmniej częściowo, w »gminowładztwie« tj w ustroju rodowym. Wiemy, że przeżytki tego ustroju przechowały się w Rosji po dziś dzień, a za Nestora musiały one być jeszcze bardzo wyraźne. Nie podobna na pewne twierdzić, ale też trudno bezwzględnie zanegować, czy też jeszcze za Włodzimierza W-go i Jarosława Mądrego nie zdarzały się spontaniczne wypadki rozsiedlania się »gmin« ruskich, a tradycja o takiem rozsiedlaniu się była napewne dla Nestora nietylko dostępną — ale wprost bardzo stosunkowo niedaleką i znaną. Mniej, rozumie się, mógł Nestor wiedzieć o masowem przesunięciu się Słowian od wschodu ku zachodowi, to też do jego orzeczenia, że posunięcie się to nastąpiło wrzekomo »z nad Dunaju« pod naciskiem Rzymian (?) nie można przykładać tej miary krytycznej, jaką przykładamy do podanych przezeń faktów — rozsiedlenia się plemion słowiańskich. Naturalnie wiadomem jest, że zadziwiająca nieraz prawdomówność Nestora może być także wynikiem jego znajomości nieznanych nam obecnie źródeł bizantyńskich Jeśli ponadto zważymy, że — bo właśnie prof. Małecki podnosi, iż w źródłach greckich bardzo stosunkowo wczesnych nazywano

Polaków Lęchami, otóż może być, że nazwa ta doszła do Nestora z wcześniejszych jeszcze, za traconych obecnie kronik bizantyńskich Jestto, jak powiedziałem, możliwe, ale sądzę — mało prawdopodobne, raczej można przypuścić, że o Polakach dowiedziano się w Konstantynopolu dopiero za pośrednictwem Rusi, że więc, co i prof. Małecki przypuszcza — Nestor nazwę Lęchów wziął z pośród Słowian, a nie od Greków. Jeśli jednak tak się stało, to jużcić nazwa ta musiała żyć za Nestora jeszcze w ustawach ludu i nawet można twierdzić napewne, że rzeczywiście żyła i to nietylko w Polsce, ale nawet współcześnie Nestorowi na Rusi. Prof. Małecki, pisząc o Lęchach u Nestora, pominął nader ciekawą wzmiankę w tej kronice, która brzmi dosłownie, jak następuje:

»Polanie (koło Kijowa) żyjący zosobna, jakośmy rzekli byli rodu słowiańskiego, a imię ich było Polanie, a Drewlanie szli także od Słowian, a imię ich było Drewlanie; zaś Radymicze i Wętycze od Lęchów. Było bowiem dwóch braci w Lęsiech, jeden Radym a drugi Wętko, i przyszedłszy osiedli Radym nad Sożą, od niego przezwali się Radymiczami, a Wętko osiadł z rodem swym nad Oką, i od niego przezwali się Wętyczami (M. Pol. I. str. 558). Nie może być żadnej wątpliwości, że wśród tych Radymiczan i Wętyczów tradycja o ich lęchickiem pochodzeniu »z Lęchji« była za Nestora jeszcze bardzo znaną, tworzyli oni nawet odrębną grupę etniczną na Rusi w stosunku do Waręgów, czytamy bowiem na innem miejscu: *Byli zaś Rodymicze z rodu Lęchów, przyszedłszy tu osiedli, i płacą dań Rusi: powoz wiozą (wyjąt) po dziś dzień.* (M. Pol. I. str. 626). Pierwsza z tych zapisek przeciwstawia wyraźnie Lęchów Słowianom, sądzę jednak, że Nestor miał tutaj na myśli różnicę między Radymiczami i Wętyczami wobec tych specjalnie Słowian, którzy nie »przyszli na Ruś z Lęchji«. Sąd ten mój opieram na tym fakcie, że Nestor przecież w zapisce o rozsiedleniu się Słowian nazywa wyraźnie także Lęchów — Słowianami. Polskę nazywa Nestor zawsze »Lęchją«, otóż nie można inaczej sądzić, że także i ta Lęchja, z której wyemigrowali Radymicze i Wętycze — jest identyczną z — Polską. W ten sposób okazuje się z Nestora jasno, że prof. Małecki ma rację, identyfikując nazwę Lęch, Lęchja z nazwami Poloni, Polonia. O jakiejś różnicy szczepowej lub wprost o najeździe Lęchów na Polan, jak przypuszczano — nie może być mowy, mimo to jednak Nestor *nie pozwala nam sądzić, jakoby nazwa Lęchów utargnęła do Polski dopiero za Kadłubka razem z wrzekomymi listami Aleksandra W-go.* Ostatecznie takie odróżnienie nazwy osobowej »Lestko« (Leszek) od nazwy Lech, jak to chce prof. Małecki, mało przemawia do przekonania, raczej idąc za tradycją dziejową, przypuścić można, że obie te nazwy zostają przecież między sobą w ścisłym stosunku etymologicznym.

Jakżeż jednak pogodzić z tem wszystkiem fakt, że w źródłach polskich, niemieckich i czeskich nazwa Lechów przed Kadłubkiem jest nieznaną z wyjątkiem chyba rzeczywiście wątpliwych Licicavików Widukinda.

W tym wypadku znów może przyjść historji w pomoc etno i socjologja.

Bardzo często zdarza się u ludów nieucywilizowanych, że plemię macierzyste zachowuje nad plemionami, które się wyłoniły z niego, pewien rodzaj hegemonji. Prof. Mucke przypisuje nawet temu zjawisku bardzo doniosłe znaczenie. Przypomnijmy sobie teraz, co Nestor mówi o rozsiedleniu się Słowian w Polsce. »Słowianie owi przyszedłszy siedli nad Wisłą i przezwali się jedni Polanami, drudzy Lęchowie Lutyczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami«. Zapiskę tę należy sprostować i to na podstawie samego Nestora. Wiemy zeń, że nazwa Słowianie była początkowo tylko nazwą tych Słowian, którzy »osiedli koło jeziora Ilmenu i założyli gród i nazwali go Nowogrodem«, pewną zresztą jest rzeczą, że ogólna, wszystkie ludy słowiańskie obejmująca nazwa »Słowianie«, jest znacznie późniejszą od epoki rozsiedlania się plemion słowiańskich na Rusi i w Polsce.

Tak skoregowana zapiska Nestora brzmieć będzie: Lęchowie przyszedłszy osiedli nad Wisłą, a od tych Lęchów przezwali się jedni Polanami itd.«. Czyż przy uwzględnieniu danych etno- i socjologicznych nie nasuwa się mimowolnie na myśl, że plemię zwane Lęchy, zająwszy jakieś terytorj n nadwiślańskie, plemię zresztą zupełnie słowiańskie stało się plemieniem macierzystem, z którego wyłoniły się przez zwykłe w takich razach »pączkowanie« sąsiednie plemiona słowiańskie. Pewien rodzaj zwierzchnictwa plemienia macierzystego nad tymi, które zeń się zróżniczkowały, był przyczyną, dla której w chwili, kiedy w Polsce zaczęła się wytwarzać władza centralna, zogniskowała się ona w plemieniu Lechów, czyli jak tradycja mówi, w osobie książąt Leszków i Popielów. Tradycja ta doszła na Ruś po części z Polski, po części zaś od wyjątkowo daleko po za Wisłą osiadłych Radymiczów i Wętyczów i musiała ona jeszcze znacznie przed Nestorem przybrać w ustach Polan kijowskich wyraźną formę w nazwach Lęch, Lęchja, które to nazwy znalazły się naturalnym biegiem rzeczy w ustach wszystkich ruskich Słowian i w kronice Nestora. W ten sposób rzeczywiście okazuje się słusznem, co prof. Małecki o identyczności nazw Poloni, Polonia, a Lachy, Lachia (Lęchia) powiada, doszedłszy zresztą do tego wniosku na zasadzie całkiem innych rozumowań. Mimo to jednak pozostaje jeszcze nie wyjaśnioną nazwa Poloni, Polonia. Niema kwestji, że są to nazwy identyczne z »Polanami« nadwiślańskimi, a więc, jak sądzę, jestto plemienna nazwa jednego z plemion, które się z Lęchów (Lachów) wyłoniły. I znów etnologja przychodzi w pomoc historji;

znane są bowiem dość liczne fakta z życia plemion nieucywilizowanych, że plemię jakieś nie macierzyste, ale wtórne — rozrodziwszy się znacznie — występuje wobec bratnich zresztą sobie plemion sąsiednich jako — zaborcze. Wówczas naturalnie słaba hegemonja plemienia macierzystego upada bezpowrotnie, a plemię zaborcze przeprowadziwszy zabory, tem samem „upaństwowiwszy" je — nadaje nowemu temu „państwu" swe miano. Tak stało się na Rusi pod wpływem najazdu waręgskich Rusinów, w Polsce zaś sądzę pod naciskiem zaborów wewnętrznych plemienia Polan. Naturalnie, że tradycja jak zwykle ubrała tę przemianę społeczną w formę więcej indywidualistyczną, jako upadek dynastji Leszków i Popielów, a wybór Piasta na króla. Być może zresztą, że rzeczywiście jakaś zmiana w osobach wówczas nastąpiła w myśl hypotezy prof. Wojciechowskiego »O Piaście i piaście«. Nie chcę uważać mego zapatrywania za pewnik historyczny, bo jużcić mało ku temu pozytywnych danych, zaliczam jednak do ostatnich także ten fakt, że w Polsce nazwa Lęchy była długi czas w źródłach systematycznie unikaną. Źródło nawet kronikarskie z tamtych wieków ma zawsze cechę mniej lub więcej urzędową, trudno więc byłoby np. żądać od Galla, ażeby on wznawiał w kronice swej tradycje lechickie nie zupełnie zgodne z polskiemi, a zresztą on, tak samo jak Niemcy i Czesi używając wyłącznie nazw Poloni, Polonia — używa *de facto* nazwy, iż się tak wyrażę — oficjalnej, ogólnie w sferach rządowych przyjętej, podczas gdy Nestor od Polan kijowskich przyjął starą ludową nazwę „Lęchów" i „Lęchji", która powoli się w samej Polsce zacierała i wyszła na jaw dopiero u Kadłubka — sądzę jednak że pod wpływem Rusi, a nie listów Aleksandra W-go. Plemienną siedzibą Polan była bez kwestji Wielkopolska, a stolicą ich książąt Gniezno, podczas gdy grodem plemiennym Lachów była według podania o Popielu II. — Kruszwica. Wielkopolska graniczy z Pomorzem, na którym już w VIII. w. roiły się łupieżce bandy Wikingów, to też sam wzgląd terytorjalno geograficzny przemawia wcale dobitnie za tem, że także normandzka „hypoteza najazdu" Dra Piekosińskiego może być w części dopuszczalną. Ale w jakiej części? Możliwem, a mojem zdaniem nawet nawet nader prawdopodobnem jest przypuszczenie, że pierwsi książęta tj. dowódcy wojenni plemienia Polan, zaczęli w chwili rozpoczęcia zaborów sprowadzać najemników normandzkich, których potomkowie siedzieli jeszcze za Mieszka i Bolesława Chrobrego na kilku grodach i zostawali na utrzymaniu skarbu książęcego (Albekri), dopóki im zapewne ziemi nie wydzielono. Więcej nic przesądzać nie podobna, w każdym razie ciekawym jest fakt, iż już w zaraniu średniowiecza widzimy w Polsce buntowniczych możnowładców — może potomków rycerzy normandzkich z liczną drobną szlachtą nie wiele różniącą się od wolnych chłopów, której ogniskiem i główną siedzibą była zawsze stara plemienna siedziba Polan — Wielkopolska. Możnowładcy skupili się głównie w Małopolsce, gdzie za nimi przeniosła się także siedziba książąt z Gniezna — do Krakowa.

Dr. K. J. G

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

Frysztat, mieścina, licząca niewiele więcej ponad trzy tysiące mieszkańców, mogłaby — pod względem porządku i czystości — służyć za wzór pierwszorzędnym grodom galicyjskim. Schludne, jednopiątrowe dworki, wznoszące się po obu stronach ulicy, którą idziemy, wyglądają jakby dopiero co wyszły z rąk majstrów, a błyskające we wszystkich niemal oknach koralowe dzwonki fuksji, blado-różowe płatki pelargonji i pyszne liljowe bukiety hortensji dodają im wiele wdzięku i powabu.

Im dalej posuwamy się ku środkowi miasta, tem okazalsze spotykamy budowy. Zdają się one wspinać na palce, aby nie dać się ostatecznie zaćmić dwom kolosom, królującym w rynku. Te kolosy — to starożytna wieża z wykutym w kamieniu herbem Piastów, uszkodzona już nieco zębem czasu, ale posiadająca całą powagę i urok zabytków historycznych, — tudzież pałac najmożniejszego ze śląskich magnatów, hr. Larischa, — pałac banalny, pomimo okazałych rozmiarów i wielkich pretensji.

Ogarniamy jednym rzutem oka rynek, wieżę, pałac, kościół o czystym profilu gotyckim i pośpieszamy — w ślad za ludem, opuszczającym właśnie po nieszporach świątynię, do sali »w browarze«, gdzie mają się odbyć wspomniane wyżej sejmiki. Jakoż wypełnia się ona szybko wiejską publicznością, przy czem można zauważyć, że piękna zasada: »cześć każdej niewieście« — kwitnie w powiecie frysztackim: hoże gosposie i ich córki wchodzą bowiem na salę z wielką pewnością siebie i zajmują pierwsze, najbliższe mównicy miejsca, a za niemi dopiero tłoczą się mężczyźni.

Osoba kandydata, stającego przed wyborcami, uważaną bywa poniekąd za własność publiczną. Można o niej mówić, pisać, dyskutować, można jej nawet w duszę i sumienie zaglądać. Nie popełnię więc chyba zbyt wielkiej niedyskrecji, jeżeli, słuchając z całą uwagą sprawozdań

poselskich ponownie kandydujących do sejmu ks. Świeżego i Jerzego Cieńciały, sprobuję jednocześnie naszkicować ich sylwetki ot tym, z drogi podjętym, okruchem karwińskiego węgla.

Mocny brunet o bystrem oku czarnem, myślącem czole i spokojnym zarysie ust, miernej tuszy i miernego wzrostu, ks. Świeży samą już powierzchownością swoją budzi zaufanie i sympatycznie dla siebie usposabia. Naprożno by też szukać, czy to w wyrazie jego twarzy, czy w zachowaniu się, choćby cienia zarozumiałości, która się lęgnie w płytszych umysłach pod wpływem niezdrowego światła, bijącego od tytułów. A tytułów monsignore Świeży posiada moc! Jest członkiem Wydziału krajowego, posłem do Sejmu i Rady państwa, prezesem »Macierzy szkolnej«, twórcą i prezesem »Związku katolików ślązkich«, tudzież »Tow. Błogosławionego Jana Sarkandra«.

Brzemię tylu godności mogłoby przytłoczyć bardzo nawet krzepkie barki, — więc i ks. Świeżemu nie łatwo wszystkich zadowolić, stara się jednak sprostać przyjętym obowiązkom i robi, co leży w granicach jego możności. To też w ostatnich lat dziesiątkach imię jego łączy się ze wszystkiemi niemal sprawami Śląska, a w szerokiej działalności publicznej przyświeca mu gwiazdą zaranną szczytny cel: służenie sprawie narodowej, krzewienie polskości w oderwanej od macierzy dzielnicy. Stworzeniem zwłaszcza, przed laty mniej więcej czternastu — »Związku«, czysto ludowego stowarzyszenia, które zwoływało liczne i częste wiece w rozmaitych punktach kraju, ks. Świeży przyczynił się do rozbudzenia świadomości wśród wiejskich zastępów.

I jedno tylko może boleśnie razić w pracy jego na tem polu, a mianowicie: nadanie stowarzyszeniu o politycznych celach wyznaniowej barwy, która zamyka wstęp do niego ewangelikom. Jakim sposobem mąż, pracujący dla zwycięstwa sprawy narodowej na Śląsku, może nieskończenie osłabiać siły walczących szeregów, wykluczając z nich światłych, wypróbowanych, patrjotycznych szermierzy, — to zagadka niełatwa do rozwiązania. Przykład Szwajcarji, tudzież dziejów własnego narodu i stwierdzonych odezwami Kościuszki jego tradycji, powinienby usunąć ten cierń, tkwiący w sercu Śląska i tamujący prawidłowość jego ruchów. Oceniając też bezstronnie działalność ks. Świeżego, przychodzi się do przekonania, że nie brak szerszych poglądów nie pozwolił mu zająć bardziej humanitarnego stanowiska, lecz że chyba suknia kapłańska skrępowała swobodę jego czynów.

Jak drogim jest ks. Świeżemu sztandar narodowy, któremu służy, można się przekonać i w obecnej oto chwili. Mowa jego, dotąd płynna, spokojna, nieco chłodna, zaczyna się rwać, burzyć, rozgrzewać teraz dopiero, gdy uderzyła o strunę polskości, gdy mowca wzywa słuchaczy, aby się nie dali omamić złej sile, aby twardo stali w obronie mowy, tradycji, ziemi ojców...

Zupełny kontrast z ks. Świeżym, co do powierzchowności, stanowi Jerzy Cieńciała, który po nim zabiera z koleji głos.

Rozłożyste ramiona przy średnim wzroście zdradzają w nim siłę Waligórów, moc Wyrwidębów. Włosy, dziś srebrne, musiały niegdyś, jak pozwalają wnosić turkusowe oczy, — jasnym nimbem otaczać twarz, — wesołą, szczerą, mądrą twarz polskiego chłopa. Od tej twarzy, jak i od całej postaci bije pogoda, nawiana z pól i łanów, wśród których upływało życie p. Cieńciały i które własną uprawiał ręką. A jednak ten człowiek, taki spokojny w zwykłym porządku rzeczy, tak łatwo zanoszący się głośnym, serdecznym śmiechem, straszny być musi, kiedy piorun gniewu wstrząśnie szeroką jego piersią, zapali chłopską krew w żyłach.

O sile jego temperamentu, mówią ruchy postawy, gdy, porwany własnemi słowy, daje się unosić wzruszeniu, mówią o niej gwałtowne, błyskawiczne, jak cięcia szpady, rozmachy prawej ręki, któremi podkreśla cyfry, świadczące o krzywdach i upośledzeniu ludu rolnego na Śląsku.

Popularność, którą się Jerzy Cieńciała cieszy poza granicami Księstwa Cieszyńskiego, przypisać należy do pewnego stopnia okoliczności, że on pierwszy z polskich chłopów wyniesiony został na krzesło poselskie i nie zrywając z rolą, żywy wziął udział w sprawach publicznych. Ale i niezależnie od piastowanej godności, a dzięki osobistym jedynie zaletom i położonym zasługom Jerzy Cieńciała ma prawo zająć miejsce w szeregu wybitniejszych na Śląsku osobistości

Niepoślednie zdolności umysłowe, pozwoliły mu pogłębić i uzupełnić wiadomości, zdobyte w szkole ludowej, szacunek i zaufanie ludzkie, wyniosły go na wysokie stanowisko, a wiedzy swej, jak i wpływów, używał zawsze w celach szlachetnych. Jako poseł — dawniej do Rady państwa, od szeregu zaś lat do Sejmu — występował i występuje odważnie w obronie praw — narodowych w pierwszej linji — swoich wyborców. Na działalności jego w jednym z wydziałów, zastępujących na Śląsku Rady powiatowe, nie ciąży najlżejszy zarzut. Jako inicjator nakoniec i wieloletni prezes Towarzystwa rolniczego, przyczynił się w niemałym stopniu do podniesienia dobrobytu w kraju...

Wtem gromkie oklaski rozlegają się wśród zgromadzenia. To słuchacze, a w pierwszym rzędzie słuchaczki biją brawa p. Cieńciale, który rzecz swoją o znaczeniu i korzyściach spółek mleczarskich zamknął dowcipnem przysłowiem: »dobra to czarowniczka, kiera daje do szafliczka«.

M. Wysłouchowa.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie